

BRONISŁAW KRÓL syn Józefa i Jadwigi urodzony 3 VIII 1924r
w Samborze.

Zamieszkały: Sambor ul Powodowa 392 - wspomina:

Na wiosnę 1940r do naszego domu przyjechało dwukólką
dwóch żołnierzy NKWD i zabrali ojca z mieszkania.

Mama chodziła do Urzędu NKWD w Samborze, pytała gdzie jest
tato, dlaczego został aresztowany. Odpowiedź otrzymała tylko
jedną: "jest w więzieniu w Samborze".

Mama do więzienia nosiła paczki żywnościowe, oraz bieliznę.
Paczki przyjmowali, nigdy jednak z ojcem się nie widziała.
W czerwcu 1941r poszedłem z mamą zanieść paczkę żywnościową.
Strażnik stojący przy bramie więziennej, radził nam abyśmy
szybko odeszli. Mówił tonem łagodnym, ale ponaglał by odejść.

Za dwa lub trzy dni do Sambora weszli Niemcy. Tak jak my
do więzienia poszko wiele ludzi szukać swoich krewnych.

Na więziennym podwórzu leżała sterta ubrań, w której zna-
leźliśmy ubranie ojca. W piwnicach więziennych zobaczyliśmy
pomordowanych więźniów. Leżeli w bieliźnie, ręce mieli związa-
ne do tyłu. Zwłoki były w rozkładzie, trudne do rozpoznania.

Niemcy przywieźli grupę Żydów, oraz drewniane skrzynie.
Żydzi do skrzyń wkładali trzy lub cztery zwłoki. Samochodem
ciężarowym przewieźli na cmentarz przy ul. Biskowskiej w Sam-
borze. Pomordowanych więźniów pochowali we wspólnej mogile.

W dniu 9 XI 1943r Józef Wesołowski zaproponował mi wstą-
pienie do AK. Zdecydowałem się.

W kilka dni później w moim mieszkaniu przysięgę przed
Józefem Wesołowskim złożyli:

Mieczysław Hawrot

Bronisław Król - "Brytan"

Władysław Paluch

Pracę rozpocząłem w grupie sabotażowo-likwidacyjnej. W dniu 11 IX 1945r mama zobaczyła w pobliżu domu radzieckich żołnierzy. Powiedziała: "uciekaj". Zdażyłem wybiec z mieszkania za stodołę. Oni tam już byli.

Przyprowadzili mnie do mieszkania. Sprawdzili dokumenty. Zdjęli z palca złoty pierścionek. Później z gospodarstwa zabrali dwie krowy, ubrania, bieliznę, gramofon. Brali to, co chcieli.

Wyszliśmy z mieszkania. Szliśmy nie drogą główną, a poza zabudowaniami, wprost na cmentarz.

Na cmentarzu rozkazali położyć się między grobami. Jeden z żołnierzy pchnął mnie. Upadłem. Dwóch żołnierzy biło i kopało. Dwaj, którzy stali obok też chwilami bili, kopali.

Później zaprowadzili do budynku NKWD. Wprowadzili do piwnicy. Siedziałem tam trzy dni. Na przesłuchanie wzywali nocą. Pytali o kolegów z AK. Nic nie powiedziałem.

Myślałem o ucieczce. Próbowałem obluzować kratę z okienka. Strażnik zauważył przez oczko w drzwiach. Wszedł do celi i uderzył mnie pistoletem w głowę. Czwartego dnia wyprowadzili z więzienia. Związali ręce sznurkiem. Dwóch żołnierzy pociągiem osobowym wiozko mnie do Lwowa.

We Lwowie, w celi więziennej było nas ponad dwadzieścia osób. Na przesłuchanie brali również tylko nocą. Pytali ciągle o kolegów z AK. Bili ręką, kopali, ordynarnie się wyrażali.

Strażnik biorąc na kolejne przesłuchanie, zapytał kto chce iść na ochotnika. Zgłosiłem się.

Pytali: "dlaczego mówisz to samo"? Powiedziałem: "mówię prawdę". Tej nocy nie bili.

Po trzech miesiącach mnie i Mieczysława Hawrota czarnym samochodem zawieźli ponownie do więzienia w Samborze.

W więzieniu w Samborze dawali nam jeść ryby z robakami.

Za kilka dni na sali rozpraw odbył się xxw sąd tzw. "Trojka". Odczytali nam wyroki: za przynależność i działalność w wrogiej

organizacji otrzymałem dziesięć lat więzienia-katorgi, oraz pięć lat pozbawienia praw obywatelskich i konfiskata majątku. Sądzony byłem razem z Mieczysławem Hawrotem.

Następnego dnia odwieźli nas czarnym samochodem do Lwowa ul. Pełtewna 45 /do łagru/.

Budynek murowany, trzypiętrowy, ogrodzony drutem kolczastym. W dużych pomieszczeniach było nas około pięćdziesiąt osób. Spaliśmy na podłodze. Okrywali się swoim ubraniem. Ze mną był Mieczysław Hawrot.

Jeść dawali nam dwa razy dziennie. Rano gorzka herbata i kawałek chleba. O godzinie piętnastej porcja zupy i dwadzieścia dekagramów kaszy.

Przez krótki okres pracowałem w zakładzie szewskim. W połowie lutego załadowali nas do wagonów towarowych. Przy wsiadaniu do wagonu, popędzali i krzyczeli by szybciej wsiadać. Bili rękami, pałką, kopali.

W wagonie było nas osiemdziesiąt czterech mężczyzn. Prycze piętrowe, okna zakratowane, drzwi zamknięte od zewnątrz. Dziura w podłodze. Wagon bez ogrzewania.

Co kilka dni pouczali, że w wagonie mamy być spokojni. Na większych stacjach, jak pociąg zatrzymywał się liczyli nas.

W drzwiach wagonu naprzeciwko siebie stanęło po dwóch żołnierzy radzieckich. Wszystkich więźniów zgrupowali w jednej części wagonu. Rozkazali pojedynczo przechodzić na pustą stronę wagonu. W tym czasie ~~przechodziliśmy~~ jak przechodziliśmy, bili nas drewnianymi młotkami.

Było tak, że liczenie powtarzali dwa razy. Niby pod pretekstem, że pomylili się w liczeniu.

Z nami jechali również "żuliki". Znęcali się nad więźniami politycznymi. Jeden z "żulików" więźniowi politycznemu, przy pomocy blachy ściągnął złotą koronkę z zęba.

Wyżywienie w czasie drogi: mąka zaparzona gorącą wodą i jedna trzecia część śledzia jeden raz dziennie. W cebrzyku woda deszczowa, lub z pobliskiej glinianki. Widziałem - pociąg stał

na bocznicę. Wówczas więźniowie brali wodę z glinianki i nieśli do wagonu.

Ludzie chorowali na żołądek, mieli biegunkę. Lekarza nie było.

W czasie tej drogi zmarło dwóch mężczyzn. Nazwisk ich nie znam. Przyszedł /podobno lekarz/ stwierdził zgon. Zmarłego wynieśli z wagonu. Tak było w obydwóch przypadkach.

Zaprowadzili nas do łaźni. Ubrania dali do dezynfekcji. Kąpiel w ciepłej wodzie bez mydła.

Po kąpieli ubraliśmy się w wilgotne ubrania i znów popędzili nas na dworzec kolejowy. Odległość około trzy kilometry. Pociąg nasz stał na bocznicę.

Idąc do pociągu zobaczyłem, że na dachu każdego wagonu leżał żołnierz z karabinem maszynowym. Ubrany był w kożuch, a na sobie miał jeszcze jeden "tożup" drugi większy kożuch z dużym kołnierzem i długimi rękawami. Żołnierz leżał na dachu wagonu, twarzą w przeciwnym kierunku jazdy pociągu.

Z Omska wyjechaliśmy w ciągu dnia do Buchty Nachodka. Podróż trwała również około miesiąca. Z tą różnicą, że teraz dwa, a nawet trzy razy dziennie liczyli nas - bili.

Niektórzy więźniowie polityczni załamali się. Milczeli, inni płakali.

"Żuliki" między sobą kłócili się, bili.

Wysiedliśmy w Buchta Nachodka. Jeśli któryś z więźniów powoli wychodził z wagonu, to strażnicy bili.

Ustawili nas w czwórki lub piątki. Zaprowadzili do łagru. Umieścili w dużym drewnianym baraku. Było tak dużo pluskiew, że wyszliśmy z baraku i spaliśmy na podwórku na piasku. Tak było przez dwa miesiące.

Tam zobaczyłem jak pluskwy z pustego baraku wędrowały po piasku do baraku, gdzie mieszkali więźniowie.

Nie pracowaliśmy. Jeden raz dziennie dostawaliśmy piętnaście dekagramów chleba, jedną trzecią część śledzia i gorącą wodę do picia.

Oprócz Polaków byli tutaj: Litwini, Łotysze, Czyczeńcy, Uzbeki, Tatarzy, Ukraińcy. Więźniowie polityczni i przestępcy pospolici: "żuliki" "wory" "suki". Tym trzeba było schodzić z drogi. Jeżeli w czasie gry w karty przegrał więźnia politycznego, to zabijał. Nie było sposobu by się uratować.

Były takie wypadki. Więzień w ukryciu w ubikacji palił małego "skręta". "Żulik" poczuł dym z papierosa. Więźnia zabił. Peta wypalił.

Z obozu wyprowadzili kilka tysięcy więźniów. Szliśmy w kolumnie do portu Buchta Nachodka. Obok nas po jednej i drugiej stronie szli strażnicy z karabinami i psami.

Nie wiadomo z jakiego powodu, po pewnym czasie z portu wróciliśmy do łagru. Siedzieliśmy na łące, na zeschniętej trawie przed łagrem. Przy nas co kilka metrów stał strażnik z psem. W niedługim czasie od powrotu do łagru, w porcie był potężny wybuch. Stojący obok nas żołnierz, przewrócił się.

Następnego dnia wydali nam suchy prowiant - całodzienne utrzymanie: jedna łyżeczka cukru, jedna łyżeczka kaszy perłowej, oraz pięćdziesiąt dekagramów chleba. Ponownie poszliśmy do portu.

W porcie stał okręt towarowy "Orzeł". Umieścili nas w dużych pomieszczeniach po kilkaset ludzi. Nary czteropiętrowe, mimo to, nie starczyło dla wszystkich. Spałem na metalowej podłodze. Górą skraplała się para, w wyniku czego rano wstawałem cały mokry.

Wszy było tyle, że z siebie zgarniałem ręką. Koszulę co pewien czas zdejmowałem, kładłem na podłodze i grubą butelką wałkowałem. Po tym zabiegu koszula była wprawdzie czerwona, ale przez pewien czas nie gryzły mnie wszy.

Wyżywienie na statku: jedna trzecia część śledzia, pięćdziesiąt dekagramów chleba jeden raz dziennie. Do picia gorąca woda. Gdy zabrakło chleba, w zamian dawali jeden raz dziennie "czyr".

Z czasem zabrakło wody do picia. Brali więc wodę z morza.

Od pierwszych dni podróży część więźniów chorowała na chorobę morską. Później wybuchła epidemia czerwonki. Pomocy lekarskiej nie było.

Pamiętam, zmarł starszy człowiek - Ukraińiec Jaworski. To pierwsza śmierć w czasie tej drogi. O zgonie zgłosiliśmy komendantowi.

Na zwłoki dostaliśmy worek. Sami więźniowie zwłoki włożyli do worka. Worek zasznurowali. Z trudem po schodach wynieśli na pokład i do morza.

Stałem oszupiały - patrzyłem w morze. Obok mnie żołnierz. Po chwili powiedział do mnie: "co tak patrzysz, dziś twój kolega, a jutro ty". Około trzysta osób zmarło w czasie tej podróży i tak zostali utopieni.

Po trzech miesiącach dopłynęliśmy do rzeki Jany. Więźniowie chorzy, odjechali samochodami ciężarowymi po zamarzniętej rzece. My szliśmy cały dzień wzdłuż rzeki Jany, a z nami strażnicy. Wieczorem rozpaliliśmy ogniska, aby się ogrzać. Później ułożyliśmy się do spania na pogorzeliisku. Ziemia była nagrzana, a rano byliśmy tak zamrznięci, że z trudem poruszaliśmy się. Tak wędrowaliśmy i odpoczywaliśmy przez kilka dni i nocy.

Strażnicy zgrupowali nas na pustej przestrzeni pod gołym niebem. Zaraz przystąpiliśmy do budowy baraków.

Barak, to duże pomieszczenie z płaskim dachem. Dach pokryty mchem i darnią. Dwie beczki blaszane po ropie służyły za piec do ogrzewania pomieszczenia. Dym odprowadzany był przez rurę umieszczoną w dachu. Spaliśmy na pryczach piętrowych.

Zachorowałem na cyngę. Leków nie było. Jedynie wywar z igieł sosnowych - "chwoja". Wywar o nieprzyjemnym gorzkim smaku.

Choroba u mnie postępowała. Byłem bardzo osłabiony, opuchnięty tak, że na oczy nie widziałem. Pomocy lekarskiej nie było. Z pragnienia piłem własny mocz.

Po kilku tygodniach obrzęk gwałtownie znikł. W okresie zimy w 1946r samochodami ciężarowymi zawieźli nas do miejscowości Batagaj.

Mieszkaliśmy w baraku w grupie 80-siąt osób. Pracowaliśmy przy wyrębie lasu. Siekiery dali nam z trzonem metalowym, lekko spłaszczonym. Dzienna norma sześć kubików ściętego drzewa. Nie wykonać normy, to skazać się na karcer.

Nie wykonałem normy. Po pracy w lesie, strażnik odprowadził mnie do karceru. Powiedział uśmiechając się: "oddaj kufajkę i spodnie, abys się nie spocił".

Karcer, to małe, niskie pomieszczenie. Byłem tylko w bieliźnie. Całą noc tupałem nogami, ruszałem się, by nie zamarznąć. Po takiej nocy, rano do pracy w lesie.

W tak zwanym wolnym dniu nasz kolega poszedł do najbliższej wioski, aby zamienić watowane spodnie za chleb.

Strażnik po śladach na śniegu pojechał za więźniem i w znalazł go w wiosce. Przywiązał więźnia na długim sznurze do konia. Sam jechał wierzchem. W czasie drogi więźnia zastrzelił /tak mówili ludzie z wioski/, a koń ciągnął zwłoki i tak przyjechali do obozu.

Zwłoki cały dzień leżały przy bramie. Strażnik do nas powiedział: "taki los spotka każdego, kto oddali się od obozu".

Wyżywienie w obozie to: czterdzieści dekagramów chleba, porcja zupy, dwadzieścia dekagramów kaszy.

Nie miałem butów. Uszyłem sobie buty, ze starych watowanych spodni. Oczywiście, te buty były zawsze przemoczone. Przez noc nie wyschły. Tej zimy odmroziłem palce u nóg.

Warunki życia i pracy w lesie były tak ciężkie, że więźniowie decydowali się na samookaleczenie. Za samookaleczenie szło się do karceru. Mimo to, pan Okoń siekierą obciął sobie palce u lewej ręki. Siedział w karcerze przez trzy dni.

Za drugim razem odrąbał wszystkie palce. Leżał w baraku. Przez czas choroby otrzymywał tylko piętnaście dekagramów chleba. Zrealizował jednak swój plan. Nie poszedł więcej do pracy w lesie. Pracował w baraku.

Przez pewien okres czasu nie wracaliśmy z tajgi do baraku. Dostaliśmy duży namiot. Pośrodku namiotu stała blaszana beczka,

z rurą odprowadzającą dym. Paliliśmy w beczce całą dobę. Z żerdzi zrobiliśmy sobie nary, wyścieliliśmy je mchem. W namiocie było tak zimno, że jak rano wstawałem do pracy, to brwi i rzęsy miałem oblodzone. W takich warunkach mieszkało nas siedemdziesiąt osób.

Jeden raz w tygodniu, przywozili nam z obozu suchy prowiant. Dzienna porcja: Czterdzieści dekagramów chleba i dwadzieścia dekagramów kaszy. Z tej kaszy, sami na ognisku gotowaliśmy zupę.

Od 1947r pracowałem w kopalni uranu. Do kopalni zjeżdżaliśmy wózkami drewnianymi - pochylnia 450 metrów.

Ład odstrzelowali ludzie wolni. W ciągu dnia pracy trzeba było załadować uranem czterdzieści wagonów i dopchać je do szybu.

Praca w kopalni dwanaście godzin dziennie. W ciągu miesiąca jeden dzień wolny. Normy żywnościowe bez zmian. Ważyłem wówczas czterdzieści pięć kilogramów. Do pracy w kopalni chodziłem chory z gorączką. Wypadki przy pracy zdarzały się.

Rosjanin - Michał Kuźmicz zasadzony na piętnaście lat. To on zabrał mnie z tajgi do pracy w kopalni. Był dla mnie dobry. Często dzielił się ze mną zupą. Dla Kuźmicza chodziłem po zupę do kuchni. Dostawał zawsze dużą porcję. Obawiali się jego wszyscy, a nawet NKWD. Michał Kuźmicz był "worem".

Pensję w kopalni otrzymywali tylko ci, którzy wyrabiali normę.

Ja otrzymałem pensję dopiero od 1951r. Miałem pieniądze, mogłem sobie kupić w kiosku konserwę rybną.

Komisja Lekarska zwolniła mnie z pracy w kopalni w 1952r. Michał Kuźmicz został zwolniony trzy dni wcześniej. Ponownie razem pracowaliśmy w lesie.

Michał Kuźmicz był naszym strażnikiem. Jeden raz w tygodniu przywoził nam do lasu suchy prowiant: jedną łyżeczkę cukru, jedną łyżkę kaszy, to dzienne nasze wyżywienie.

Z kaszy sami na ognisku gotowaliśmy zupę. Łapaliśmy suszy.

Suszy piekliśmy na ognisku. Tłuszcz topiony z susza wlewałem do pudełka, wkładałem kawałek sznurka. W ten sposób mieliśmy w namiocie światło.

Suche drzewo sprzedawaliśmy kierowcy za dwieście rubli. Kuźmicz, udawał że nic nie wie. Pieniądze od nas zabierał i kupował w osiedlu chleb dla wszystkich.

W lecie pasły się konie w pobliżu lasu. Sam Kuźmicz podsunął myśl by zabić jednego konia. Z Eskimosem zabiłem konia. Przez dwa tygodnie nasza grupa miała obfity posiłek.

Zależnie od pory roku wykonywałem różne prace. Na wiosnę kosikiem suchą trawę na ściólkę. W lecie zieloną trawę na siano. Zbieraliśmy jagody, grzyby.

W lutym 1953r zawiadomił mnie Kuźmicz, że odsiedziałem wyrok i jestem wolny.

W tym czasie dużo osób zostało zwolnionych. Poszedłem do miejscowości Egehaja.

Pracę dostałem w punkcie zaopatrzeniowym w miejscowości Osnab. Kierownikiem punktu był Rosjanin Cicieryn.

Na jeziorze ciąłem sztangą bryły lodu. Grubość lodu 1,80cm. Praca bardzo ciężka, ale zarabiałem 900rubli. W sklepie można było kupić: ryby, mięso, suszone ziemniaki w paczkach po 22kg. Sam gotowałem sobie zupy. W baraku mieszkało nas trzydziestu mężczyzn.

Mieczysław Kowalczyk odwoził bryły lodu do piekarni, dla wojska.

W okresie lata woziliśmy wodę z jeziora do zakładów, piekarni. Pracowałem ciężko, ale nie byłem głodny. Pisałem listy do mamy, do swojej sympatii.

W jesieni 1953r pracowałem w porcie rzeczonym na rzece rzece Janie. Wyładowywałem z okrętów beczki z olejem, benzyną, smary, cement. Zarabiałem 1800rubli, a czasem 2000rubli. Za szybki wyładunek dostawałem dodatkową zapłatę. Pracowałem od ośmiu do dziesięciu godzin dziennie. W porcie dostawałem bezpłatnie obiad.

Od chwili kiedy zostałem zwolniony z odsiadki, musiałem dwa razy w miesiącu meldować się u pułkownika Piwowarowa. On uprzedził mnie, że nie mogę oddalać się z miejsca pracy i zamieszkania.

W październiku 1955r kierownik portu polecił mi, abym następnego dnia pojechał do Piwowarowa w Batagaju.

Zgłosiłem się. Piwowarow oznajmił: "jedziesz do Polski. Następnego dnia masz być na lotnisku w Batagaju".

Wypłacono mi zarobek. Do małej walizeczki spakowałem koszulę /drugą miałem na sobie/ i kilka drobiazgów. Kierowca, który wiozł benzynę, zawiózł mnie do Batagaju.

Było nas trzydziestu dwóch mężczyzn - Polaków. Samochodem ciężarowym zawieźli nas na lotnisko w Batagaju. Dzień 27 XI 55r. Temperatura minus pięćdziesiąt siedem stopni Celsjusza.

Dwa samoloty /towarowe/ zawiozły naszą grupę do Wierchojańska. Dalsza podróż z Wierchojańska do Jakucka i Irkucka samolotem.

W Irkucku po tygodniu czekania, wyjechaliśmy pociągiem osobowym. Na stacji Czeremenchowo wsiadła duża grupa Polaków. Rodziny z dziećmi.

W czasie podróży na większych stacjach dostawaliśmy gorące posiłki, lub chleb, masło, jabłko.

Z nami jechał kierownik transportu, aż do Przemyśla. W Przemyślu Rosjanie skontrolowali nasze tobozki. Rozstaliśmy się z naszymi "opiekunami". Przesiedliśmy się do wagonów PKP. Przyjechaliśmy do Sanoka. Stąd wszyscy rozjechali się do swoich rodzin.

Napisałem list do mamy do Sambora. Sam pojechałem do Jeleniej Góry. Pracowałem w Kowarach. Później przeniosłem się do Legnicy. Mama z bratem przyjechała do mnie.

Wspomina pani Maria Cińcio-Król

Mieszkałem z rodziną w Strzałkowicach powiat Sambor. Do mojego brata przychodzili koledzy, a wśród nich Bronisław Król. Nie wiedziałam, że są w AK. Domyśliłam się dopiero, kiedy

Broniek ukrywał się u nas. W tym czasie okazywał mi swoją sympatię.

Zupełnie niespodziewanie do naszego domu przyjechali żołnierze NKWD. Na szczęście nikogo wtedy z chłopców nie było w domu. Zrobili rewizję. Pytali o Bronisława Króla. Zastraszali, grozili. Do mnie powiedzieli: "Jak włożymy ci palce między drzwi, to wtedy powiesz".

Po aresztowaniu Bronka też kilka razy przyjechali, zrobili rewizję.

Wspomina Bronisław Król

Do swojej sympatii Marii pisałem z zesłania, ale jak później okazało się ona tych listów nie otrzymała.

Dopiero w Polsce nawiązaliśmy kontakt listowny. Mieszkała nadal w Strzałkowicach. Była już sama, bo rodzice jej, zmarli. Brat Marii mieszkał w Sosnowcu.

Poprosiłem - Maria przyjechała. W listopadzie 1956r wzięliśmy ślub w Sosnowcu.

Za zgodność- - - - -

Bronisław Król
Bronisław Król
58-371 Boguszów-Gorce
ul Kościuszki 32/3
tel 680

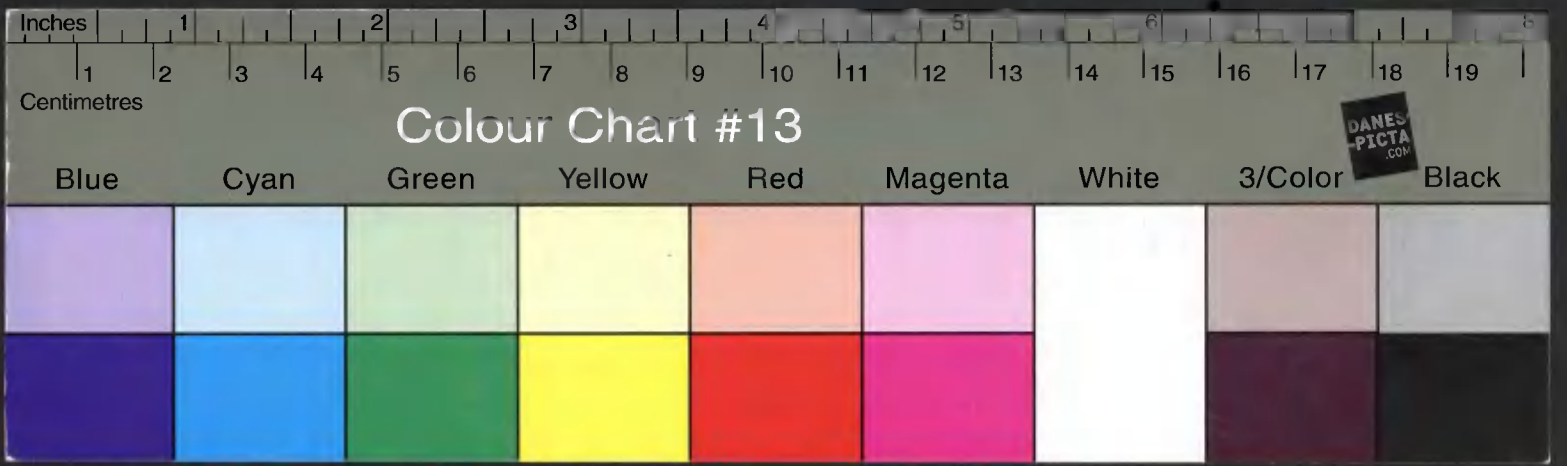
Maria Cińcio-Król

Maria Cińcio-Król
58-371 Boguszów-Gorce
ul Kościuszki 32/3
tel 680

Adres będzie zmieniony na: Wałbrzych ul Forteczna 42/4

Boguszów-Gorce dnia 26 III 1991r

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska



Relacja
FRANCISZKA KRÓLA
nagrana 9.12.91 w Warszawie przez Małgorzatę Strasz
UZUPEŁNIENIE WSPOMNIENIŃ złożonych w AW

ARCHIWUM WSCHODNIE

Napisał Pan we wspomnieniach, że tuż po śmierci Stalina powstała ogólnoobozowa, międzynarodowa organizacja. Poprzedzone to było istnieniem ośrodka dyspozycyjnego w polskiej grupie, w skład którego Pan wchodził (oraz Józefowicz i Ptaszyński). Jak doszło do utworzenia ośrodka polskiego? Proszę też dokładniej nieco powiedzieć o tym ogólnoobozowym.

O naszych sprawach opowiem dokładniej, bo w tym siedziałem. A o ogólnym Komitecie niewiele będę mógł powiedzieć, nie znałem nawet wszystkich jego członków – tak, zresztą za naszą radą, pilnowali konspiracji.

Na Workucie było wiele kopalń, ponumerowanych. Najwyższym numerem było 40; jednocześnie nigdy tyle kopalń nie działało. Rozwijały się; nim doszło do 40, niektóre z wcześniejszych wyczerpały zasoby węgla i zostały zlikwidowane. Zawsze było kilkadziesiąt – dwadzieścia, trzydzieści. Szu-2 (*Szacht – Uprawienie nr2*) to był chyba największy obóz na Workucie – trzy kopalnie. Wprawdzie nieduże, dawały tyle węgla, co kopalnia nr 1, Kapitalka. Kapitalka to jest centrum, miasto Workuta. Przy każdej kopalni były małe osiedla. Złóże węgla ciągnęło się około 30 km. Kapitalka to jest centrum, dalej Rejon Północny i Rejon Zachodni. Szu-2 było w Północnym Rejonie.

W sprawozdaniach pisało się w skrócie: *zakluczonyj – z-k; kr – katorżnik; w-m – wolnonajomnyj; s-p – specposielenie.*

Szu-2 to duży obóz i w nim chyba największa grupa Polaków w całej Workucie. Nie umiem określić liczebności – 50, 100, to się zmieniało. Gdy zostałem aresztowany, miałem 38 lat. Byłem jednym ze starszych. Z uwagi na moje wykształcenie, pozycję w obozie, poczuwałem się do obowiązku patrzenia na wszystkich rodaków, niesienia pomocy w razie konieczności – i w razie mojej możliwości. Od początku we dwóch: Świerczyński, nie żyjący już, z III Brygady „Szczerbca”; był starszy ode mnie o 4 lata. Bez żadnej organizacji, dwóch – zresztą jakąż tam organizację było zakładać, po co? Świerczyński miał 8 lat, ja dostałem 10. Jak on wyszedł z obozu, przez ostatnie dwa lata – przyszli nowi. Najpierw przyszedł Ptaszyński, później Józefowicz. Ptaszyński był jeszcze ode mnie straszny – to jest ochotnik z 1920 roku. Wtedy był smarkaczem, miał 14 lat; pojechał na front. Józefowicz młodszy od nas, ale dobry oficer, działał w Samborze, w AK. Żyje jego towarzysz z Sambora, jego podkomendny, Hentosz (też barwna postać, wrócił stamtąd dopiero po 20 latach). We trójkę, jeszcze może ktoś był, bardziej interesowaliśmy się wszystkimi chłopcami. Często spotykaliśmy, gawędziliśmy, radziliśmy, pomagaliśmy, do nas się zwracano. W sposób naturalny, organiczny staliśmy się załóżkiem. Nigdy nie nazywaliśmy tego „komitetem” ani „organizacją”, ale faktycznie to tak było. Tam duże znaczenie miała rozmowa. Zmęczeni, głodni, zakłopotani, psychiczne przeżycia. Pocięliśmy, rozmawialiśmy o przyszłości, o kraju. To był nasz komitet.

Nawet nie umiem powiedzieć kiedy, chyba jeszcze przed śmiercią Stalina... A po śmierci Stalina wyraźnie, czasy przyszły gorące, nowe, oczekiwaliśmy zmian. Ta sprawa wypłynęła w sposób bardzo wyraźny, była potrzeba skupienia się. Wtedy energiczniej zajęliśmy się wszystkim. I – to sami Polacy, a w obozie jest dużo więcej ludzi. Siedziałem już w obozie 8 lat, znałem ludzi, starych bywalców. Pracowałem na kopalni, ale jako *ekonomista* – planista. *ATP – administratiwno – techniczeskij personal*, to właśnie ci urzędnicy; z więźniów, *z zeka*. Wolnych było nie tak dużo, nie mieli kim obsadzić. Na nasze szczęście. *Normirowszczykow, planowikow*, planistów, buchalterów, inżynierów znało się. Wiedzieliśmy, z kim można gadać, do kogo można mieć zaufanie. Pozawiały się przyjaźnie. Wśród Ukraińców, wśród Rosjan, *bałtyców* wrzało – te same problemy, tak samo wszyscy żyli. Co będzie? Co się stanie? Jaka przyszłość? Aktywniejsi się wyróżniali. Tak doszło do stworzenia komitetu.

Byłoby nieuczciwe przypisywanie sobie – nam, całej inicjatywy, że myśmy ten komitet międzynarodowy stworzyli. On dojrzał. Ptaszyński, oficer rezerwy, miał twarz i sposób bycia zdecydowany, twarz ostrą; sposób bycia krótki, zwarty. Robił wrażenie. Myśmy to podtrzymywali; była opinia, że on jest pułkownikiem – potwierdziliśmy to. To było przecież przydatne. On bodaj pierwszy... Nawiązaliśmy kontakty z kilkoma przywódczymi typami – z Ukraińców prawobrzeżnych, lewobrzeżnych, „naszych”, z „nadbałtyką” bardzo dobre kontakty. Ja miałem dobre kontakty z Gruzynami. Powstał komitet. Było w nim około 12 chyba ludzi, tych, którzy się stale kontaktowali. Z naszej strony Ptaszyński. Dodatkowo Stefan Józefowicz miał kontakty z Ukraińcami „naszymi”, ja z „nadbałtyką” i Gruzynami. Sytuacją wszędzie dojrzała, we wszystkich społecznościach narodowych; tylko sygnał.

Mówi Pan o wrzeniu...

Nie, nie „wrzenie”. „Wrzenie” to jest coś aktywnego. Raczej oczekiwania, ciągle gawędy; niepokój. Sprzeciwu jeszcze nie było. Nikt nie wyobrażał sobie jakiegoś sprzeciwu.

Czy był problem donosicieli?

Oczywiście. To całe państwo, i to państwo żyjące na wolności, było nasycone gęsto donosicielami. A w obozie?

W obozie były dwie władze. Jedna – naczelnik obozu, kierował tym wszystkim: administracją – sześć tysięcy chłopca to nieduże miasteczko, gospodarcze sprawy, służba zdrowia. Był duży zakres jego prac i obowiązków. Obok tego był nadzór ściśle policyjny – KGB. To był nadzór polityczny. Oficer – kiedyś był jeden, potem nawet kilku; ale jeden był naczelnikiem. W potocznym języku nazywał się *oper*. *Oper upełnomoczony czekistskowo atdiela*. Musiał wiedzieć, co się gdzie dzieje. W każdym baraku było dwóch, albo i więcej, *stukaczy*. Różne [dla nich] były nazwy:

Relacja

FRANCISZKA KRÓLA

nagrana 9.12.91 w Warszawie przez Małgorzatę Strasz

UZUPEŁNIENIE WSPOMNIENIŃ złożonych w AW

ARCHIWUM Wschodnie

Napisał Pan we wspomnieniach, że tuż po śmierci Stalina powstała ogólnoobozowa, międzynarodowa organizacja. Poprzedzone to było istnieniem ośrodka dyspozycyjnego w polskiej grupie, w skład którego Pan wchodził (oraz Józefowicz i Ptaszyński). Jak doszło do utworzenia ośrodka polskiego? Proszę też dokładniej nieco powiedzieć o tym ogólnoobozowym.

O naszych sprawach opowiem dokładniej, bo w tym siedziałem. A o ogólnym Komitecie niewiele będę mógł powiedzieć, nie znałem nawet wszystkich jego członków – tak, zresztą za naszą radą, pilnowali konspiracji.

Na Workucie było wiele kopalń, ponumerowanych. Najwyższym numerem było 40; jednocześnie nigdy tyle kopalń nie działało. Rozwijały się; nim doszło do 40, niektóre z wcześniejszych wyczerpały zasoby węgla i zostały zlikwidowane. Zawsze było kilkadziesiąt – dwadzieścia, trzydzieści. Szu – 2 (*Szachto – Uprawlenije nr2*) to był chyba największy obóz na Workucie – trzy kopalnie. Wprawdzie nieduże, dawały tyle węgla, co kopalnia nr 1, *Kapitałka*. *Kapitałka* to jest centrum, miasto Workuta. Przy każdej kopalni były małe osiedla. Złóże węgla ciągnęło się około 30 km. *Kapitałka* to jest centrum, dalej *Rejon Północny* i *Rejon Zachodni*. Szu – 2 było w Północnym Rejonie.

W sprawozdaniach pisało się w skrócie: *zakluczonyj – z – k; ktr – katorżnik; w – m – wolnonajomyj; s – p – specposielenie*.

Szu – 2 to duży obóz i w nim chyba największa grupa Polaków w całej Workucie. Nie umiem określić liczebności – 50, 100, to się zmieniało. Gdy zostałem aresztowany, miałem 38 lat. Byłem jednym ze starszych. Z uwagi na moje wykształcenie, pozycję w obozie, poczuwałem się do obowiązku patrzenia na wszystkich rodaków, niesienia pomocy w razie konieczności – i w razie mojej możliwości. Od początku we dwóch: Świerczyński, nie żyjący już, z III Brygady „Szczerbca”; był starszy ode mnie o 4 lata. Bez żadnej organizacji, dwóch – zresztą jakąż tam organizację było zakładać, po co? Świerczyński miał 8 lat, ja dostałem 10. Jak on wyszedł z obozu, przez ostatnie dwa lata – przyszli nowi. Najpierw przyszedł Ptaszyński, później Józefowicz. Ptaszyński był jeszcze ode mnie straszny – to jest ochotnik z 1920 roku. Wtedy był smarkaczem, miał 14 lat; pojechał na front. Józefowicz młodszy od nas, ale dobry oficer, działał w Samborze, w AK. Żyje jego towarzysz z Sambora, jego podkomendny, Hentosz (też barwna postać, wrócił stamtąd dopiero po 20 latach). We trójkę, jeszcze może ktoś był, bardziej interesowaliśmy się wszystkimi chłopcami. Często spotykaliśmy, gawędziliśmy, radziliśmy, pomagaliśmy, do nas się zwracano. W sposób naturalny, organiczny staliśmy się załóżką. Nigdy nie nazywaliśmy tego „komitetem” ani „organizacją”, ale faktycznie to tak było. Tam duże znaczenie miała rozmowa. Zmęczeni, głodni, zakłopotani, psychiczne przeżycia. Pociaszaliśmy, rozmawialiśmy o przyszłości, o kraju. To był nasz komitet.

Nawet nie umiem powiedzieć kiedy, chyba jeszcze przed śmiercią Stalina... A po śmierci Stalina wyraźnie, czasy przyszły gorące, nowe, oczekiwaliśmy zmian. Ta sprawa wypłynęła w sposób bardzo wyraźny, była potrzeba skupienia się. Wtedy energiczniej zajęliśmy się wszystkim. I – to sami Polacy, a w obozie jest dużo więcej ludzi. Siedziałem już w obozie 8 lat, znałem ludzi, starych bywalców. Pracowałem na kopalni, ale jako *ekonomista – planista. ATP – administratiwno – techniczeskij personal*, to właśnie ci urzędnicy; z więźniów, *z zeka*. Wolnych było nie tak dużo, nie mieli kim obsadzić. Na nasze szczęście. *Normirowszczykow, planowikow*, planistów, buchalterów, inżynierów znało się. Wiedzieliśmy, z kim można gadać, do kogo można mieć zaufanie. Pozawiały się przyjaźnie. Wśród Ukraińców, wśród Rosjan, *bałtyców* wrzało – te same problemy, tak samo wszyscy żyli. Co będzie? Co się stanie? Jaka przyszłość? Aktywniejsi się wyróżniali. Tak doszło do stworzenia komitetu.

Byłoby nieuczciwie przypisywanie sobie – nam, całej inicjatywy, że myśmy ten komitet międzynarodowy stworzyli. On dojrzał. Ptaszyński, oficer rezerwy, miał twarz i sposób bycia zdecydowany, twarz ostrą; sposób bycia krótki, zwarty. Robił wrażenie. Myśmy to podtrzymywali; była opinia, że on jest pułkownikiem – potwierdziliśmy to. To było przecież przydatne. On bodaj pierwszy... Nawiązaliśmy kontakty z kilkoma przywódczymi typami – z Ukraińców prawobrzeżnych, lewobrzeżnych, „naszych”, z „nadbałtyką” bardzo dobre kontakty. Ja miałem dobre kontakty z Gruzinami. Powstał komitet. Było w nim około 12 chyba ludzi, tych, którzy się stale kontaktowali. Z naszej strony Ptaszyński. Dodatkowo Stefan Józefowicz miał kontakty z Ukraińcami „naszymi”, ja z „nadbałtyką” i Gruzinami. Sytuacja wszędzie dojrzała, we wszystkich społecznościach narodowych; tylko sygnał.

Mówi Pan o wrzeniu...

Nie, nie „wrzenie”. „Wrzenie” to jest coś aktywnego. Raczej oczekiwania, ciągle gawędy; niepokój. Sprzeciwu jeszcze nie było. Nikt nie wyobrażał sobie jakiegoś sprzeciwu.

Czy był problem donosicieli?

Oczywiście. To całe państwo, i to państwo żyjące na wolności, było nasycone gęsto donosicielami. A w obozie?

W obozie były dwie władze. Jedna – naczelnik obozu, kierował tym wszystkim: administracją – sześć tysięcy chłopca to nieduże miasteczko, gospodarcze sprawy, służba zdrowia. Był duży zakres jego prac i obowiązków. Obok tego był nadzór ściśle policyjny – KGB. To był nadzór polityczny. Oficer – kiedyś był jeden, potem nawet kilku; ale jeden był naczelnikiem. W potocznym języku nazywał się *oper*. *Oper upelnomoczony czekistskowo atdieta*. Musiał wiedzieć, co się gdzie dzieje. W każdym baraku było dwóch, albo i więcej, *stukaczy*. Różne [dla nich] były nazwy:

seksot, a nawet — dowcipna nazwa — kompozytor: *operu piszet*. Właściwie jak z kimś [rozmawiałeś], to nie wolno było o niczym gadać, jak o głupich sprawach; nie było wiadomo, kto. Wszystkie łatwiejsze stanowiska w obozie, lżejsze prace, dostawał ten [donosiciel], a był zobowiązany „stukać”, donosić. Więc to była zмова straszna. I z nimi nie można było nic poradzić.

W naszym baraku, — to przecież była arystokracja obozowa — był taki złodziejasek starszym *dniewalnym* (utrzymywał porządek w baraku). *Stukacz*. Wszyscy się go bali, żadnych rozmów; mało „rozmów” — jakoś trzeba było go obejść. On się często zachowywał brytalnie, grubiańsko, to nikt nie wstąpił z nim w spór czy na pięści... nie skuł mu mordy. Obchodzili z daleka i już. Nie było rady, nie było silnych na to. Mógł pójść do *opera* i nagadać Bóg wie, co. I już, a ty się potem tłumacz.

To była zмова straszna i z tym sobie nie można było poradzić. Trzeba było jakoś żyć obok tego, obchodzić... Jak ja dostawałem paczki, to go musiałem częstować. Przyszedł, siadł przy mnie i zagadał — to musiałem odbyć z nim rozmowę, w uśmiechu, swobodnie. Nie było rady na to.

A nie byli likwidowani?

Nie.

Po śmierci Stalina też nie?

Też nie. W naszym obozie nie było takich [akcji]. Może w innych... Właściwie to było nie sposób [wytrzymać? z donosicielami], ale komu się chce w końcu mordować kogoś? Normalnemu człowiekowi. A poza tym obawa — zamordować, czy to się nie wyda? Przecież obóz zawsze — pełno ludzi się włóczy, znaleźć jakiś moment, żeby go sprzątnąć po cichutku, też nie było łatwo.

Też bywały... Potem, po strajku, po tym więzieniu i *sztrafniaku*, jak się dostałem na kopalnię 3, to tam było. Sprzątnęli jednego. Ale to były rzadkie rzeczy.

W czasie strajku naszego, wtedy tam były... Byłem świadkiem, jak prowadzili takiego jednego na rozprawę. Tutaj rozszalały tłum, doszłoby do samosądu — co nie byłoby korzystne dla nas. Tak, żeśmy tam znowu powstrzymali to jakoś. Nie ja, ale inni powstrzymali, starsi i tak jakoś uspokoili. On tam wtedy dostał, kajał się...

To był jeden z ciężkich problemów, ci *stukacze*.

A błatni? W spec — łagrach dla politycznych w zasadzie nie było kryminalnych?

Byli. W zasadzie nie, ale byli. Byli kryminaliści, którzy podpadli pod 58 artykuł.

Czy przed strajkiem nie pojawił się etap kryminalnych?

Nie.

Szukam pewnych znamion, które by mogły świadczyć o prowokacji, o sprowokowaniu strajku.

Nie.

Nie widzi Pan żadnych?

Nie, absolutnie, absolutnie. W całej pełni to było z naszej woli i z całym uświadamianym sobie jasno ryzykiem. W swoim opisie strajku chyba dość jasno tę sprawę stawiam.

O błatnych. Przez pierwszych kilka lat obozy były całkowicie mieszane. Polityczni, różne przestępstwa przygodne, często bez przestępstw. [...] Przygodne towarzystwo, i duża część świata przestępczego, kryminaliści. Świat kryminalistów był bardzo bogaty, obszerny, duży. Różne rodzaje. *Żuczok* — drobny złodziejasek, nieszkodliwy jeszcze; bił nie będzie... Taki poważny — *czestnyj wor*; „prawdziwy” złodziej, *czestniaga*. To była klasa tych już wybitnych bandytów. Stykałem się z takim jednym, który kilkanaście głów na swoim sumieniu. Inny, którego znałem, na moich oczach siekierą zarabiał *nariadczyka*. Nazywano ich *błatnymi*; wszystkich, w skrócie. Mieć z kimś *błat*, dostać coś *po błatu* — to znaczy nieległanie: albo za jakąś usługę, albo po przyjaźni, albo za pieniądze czy tytoń. Świat *błatnych* obejmuje całość tych wszystkich...

W pierwszych latach *błatnych*, tego całego paskudztwa było dużo. Utrapienie straszne dla ludzi. Kradli wszystko, bili przy okazji. *Czestniaga* do *stukaczem* nigdy nie będzie, ale ci pomniejsi oczywiście byli *stukaczami*. To była duża zмова, ci *błatni*, świat przestępczy.

Później utworzono obozy specjalne, odsiano *bytowikow*, kryminalistów; została ich tylko garstka. Oni dobrze wiedzieli, co to jest 58 artykuł; on będzie wszystko robił, mordował, zabijał, ale słowa przeciwko partii [nie powie], głupstwa nie zrobi politycznego. Był surowszy reżim, baraki zamykane, nie mieliśmy takiej swobody, jak dawniej, poruszania się, ale w barakach się zrobiło spokojniej, ciszej. A *stukacze* pozostali.

W czasie strajku wyłonił się kilkuosobowy komitet. Jak przejawiała się jego kierownicza rola? Czy były służby, np. wartownicze? Jak się odbywało przekazywanie poleceń ogółowi więźniów?

To wszystko było zorganizowane. O tym komitecie 12osobowy, wielonarodowy, w obozie nie wiedział nikt. Myśmy bardzo pilnowali konspiracji. Zresztą Polacy mieli tam opinię, że są najlepsi *podpolszczycy*, specjaliści. Kontakty na zewnątrz: Komitet się zbierał, nigdy, żeby dwunastu razem — to byłoby zauważalne od razu. Ktoś zauważy i od razu by *stukacz* poszedł i dał znać. Tam trzech ludzi się spotyka... Nie razem. Każdy barak, jak już strajk wybuchł, wybrał sobie starostę. Staroście któryś z tych dwunastu — każdy wziął trzech, czterech — i wszystkie baraki już były powiadomione. W ten sposób się to odbywało.

Kontakty z naszym *naczalstwem*. Nigdy nie było tak, że wybrany ktoś, [jeden]. Zawsze tłumek; naczelnik obozu przychodzi, otacza go tłum więźniów, rozmawiają; tam jest jeden czy dwóch z komitetu — spokojnie, [niby] sam od siebie [coś powie]. Myśmy tam stawiali przecież warunki. Kierownictwo obozu i ten cały naród nigdy nie wiedzieli, że jest jakiś komitet, że ktoś przewodzi. Myśmy odmawiali rozmów z generałem *Dierewianko*, naczelnikiem całego

kombinatu węglowego, *Workut – Ugol*. O tym Komitecie międzynarodowym, a tym bardziej o naszym polskim, ani w obozie, ani na zewnątrz nie wiedział nikt.

Zawieszona była czarna flaga, jako symbol strajkujących. Czy używane były jeszcze jakieś symbole, czy formy propagowania żądań?

Dlaczego ta czarna flaga. Bo w czasie strzelaniny [na początku strajku] zostali zabici dwaj ludzie. I to znak tego, że była śmierć w obozie. Wysoki maszt i do połowy opuszczona flaga. To było dla obozu; w obozie wszyscy o tym wiedzieli, ale osiedla dookoła położone, sąsiednia kopalnia 7, która leżała jakieś półtora kilometra od nas, i nawet może TEC, który leżał dwa kilometry od nas – znak dla otoczenia.

We wspomnieniach Pan pisze, że w czasie pogrzebu tych zastrzelonych kobiety i dzieci – z tego osiedla – patrzyły przez ogrodzenie.

Tak.

To znaczy był możliwy kontakt wolnych z wami, strajkującymi?

Obóz zajmujący co najmniej pół kilometra kwadratowego, druty, wyszki. W rogu tzw. *morż*, czyli trupiarnia. W tym baraczkach jednocześnie jeden Łotysz trumnę robił. Stąd się zaczął ten pochód żałobny. Baraki stały rzędem, przejścia wszędzie były po tzw. *trapach* – to był chodnik drewniany. Dookoła był ten chodnik. Zebrał się nasz tłum, orkiestra. Trumny stamtąd wyprowadzają, a poza drutami, w tundrze, kobiety i dzieci. Poprzez druty, dwie – trzy osoby, nie umiem powiedzieć – chyba dzieciom to zlecono, bo dziecku co zrobić? – kwiaty z tundry zerwane przerzucono na tę [naszą] stronę. To nie był żaden kontakt, nie było żadnego przekrzykiwania się, rozmowy; nic. Z daleka. Ci potem odeszli, bo przecież dla nich też to było niebezpieczne. Ale z daleka, od obozu jakieś 200 metrów szła droga, z niej wszystko było widać. A my specjalnie – nie krótszą drogą [szli], ale uroczyście, dookoła [obozu], żeby przez druty widzieli.

Z wolnymi nie mieliśmy wtedy żadnego kontaktu.

Pani pytała o organizację w czasie strajku. Ogólna była postawa, że nie będziemy nic zadrażniać niepotrzebnie, nie niszczyć, nikogo mordować. Nie naruszać praw. Kopalnie, trzy kopalnie – zadbamy o nie. Kopalni nie można zostawić na dzień, na dwa w żadnym razie, bez kontroli. Elektryczność, woda (musi być pompowana, odprowadzana) i gaz (kopalnie tam były gazowe; trzeba kontrolować stężenie gazu, jak jest gdzieś niebezpieczne, za wysokie, to – są wentylatory, urządzenia do tego, żeby odgazować kopalnię). Stworzono komitet techniczny, prowadził go inżynier *Pieczugin*. Miał czuwać nad kopalniami, wysyłać elektryków, specjalistów od wody i *gazozawieszaczyków*. Ale jak wysłana przez nas pierwsza brygada techniczna poszła, na wachcie ją przepuścili (powiedzieli im, że idą specjaliści, w takiej sprawie), na kopalni ich nie przyjęli. Zarząd kopalniany, inżynierowie – tam było kilkudziesięciu ludzi wolnych; wszyscy górniczy strażnicy, którzy mieli do czynienia z odpalaniem, musieli być wolni – zmobilizowali wszystkich i sami to obsługiwali. Ale – to było przewidziane i zorganizowane.

Jeżeli chodzi o organizację [strajku], to już chyba nic więcej nie było.

Strajk został zakończony na wieść o masakrze na kopalni 29 – czy to można uznać za powód...?

Nie. U nas było niezależnie od tego. Jak się odbyła ta rozmowa z *generałem Maslennikowem*, to był przełom. Potem jeszcze dzień, dwa – chyba dwa dni jeszcześmy pałowali, to znaczy nie wyszliśmy na robotę. Codziennie naczelnik obozu wzywał nas do roboty. Po tych dwóch dniach tak sobie jakoś uprzytomniliśmy: właściwie nie ma sensu trwać dalej w takim oporze. Bo co to przyniesie? Siłą nas wezmą i już. Będą represje i duże zaostrenie. Właściwie to, co myśmy chcieli osiągnąć, to, cośmy mogli osiągnąć, tośmy osiągnęli. Przekazaliśmy bezpośrednio moskiewskim władcom nasze postulaty; przedstawili swoje krzywdy i żądania. Były dyskusje, ja w tym też... rozmawialiśmy z *Ptaszyńskim* i *Józefowiczem*. *Józefowicz* najbardziej się upierał, twardo. Ja nie byłem zdecydowany. Ale jeden z tych dwunastu, z komitetu, Ukrainiec, później mój przyjaciel, tłumaczy: „nie ma co”. Powiada: „Ja jutro idę – on był w oddziale [brygadzie?] budowniczych – idę wieczorem do górników, do baraków i powiem, że jutro idziemy do roboty.” I tak się stało.

Byliście przekonani o sukcesie, tzn. że komisja przyjęła żądania i...

Tzn. wysłuchała.

...i to był wasz cel?

Oczywiście. Wiedzieliśmy, że o tym teraz w Moskwie będą radzić. A te pierwsze, takie powierzchowne ulgi, to od razu, jeszcze przed przyjazdem komisji oni tam... Włosy można nosić, coś tam jeszcze; drobiazgi. *Maslennikow* o paru takich drobnych ulgach nam od razu – przyrzekł.

Kogo jeszcze z tego komitetu Pan znał? Wspomniał Pan o Ukraincu, czy jeszcze kogoś?

Gruzin.

Ten, z którym później był Pan na sztrafnym?

Tak. I z *Nadbałytki* – dwóch *Litwinów*. Nawet ich nazwisk dziś nie pamiętam. Wtedy nie pytało się o nazwiska. I jeden Łotysz.

Znał Pan również, z poprzednich lat, *Edmunda Greczanika*. Określił go Pan jako właściwego kierownika strajku na kopalni 29.

Pisałem o nim we wspomnieniach. To się w *Wilnie* zaczęło [nasza znajomość]. Był prawnikiem, pracował na poczcie. Był czynny w związkach zawodowych, bardzo aktywny; taki opozycyjny. Groziło mu [za to?] przeniesienie do *Pińska*; niewygodny był w *Wilnie* dla władz sanacyjnych. Wykształcony, działacz związkowy, aktywny człowiek, odważny, twardy chłopak. Jakeśmy w *Wilnie* Koncentrację Demokratyczną założyli, żeśmy się skrzyknęli – ludowcy,

socjaliści (prawdziwi, od Daszyńskiego) i tzw. demokraci, tzn. sfery urzędnicze, drobne rzemiosło. Trzy grupy polityczne, trzy, powiedzmy, stronnictwa. Kierunek demokratyczny, przeciwstawiający się i starym, po – Piłsudskim kręgom wojskowym „pułkownikowski”, OZONowi, i – z prawej strony – endekom, ONRowi, „Falandze”. Ten środek. Kto ma rządzić? Czyja ta Polska ma być? Kto ma się wziąć do tej roboty i porządku jakieś wprowadzać. Koncentracja Demokratyczna.

Należałem do rady naczelnej, nas było dwunastu. Ze strony ludowców był prof. Chmaj, nie żyje już; z Krakowa się wywodził, z chłopskiej rodziny. Jackiewicz z Podlasia, też z chłopskiej rodziny. Ja z miechowskiego, z dawnej Kongresówki, ale z sąsiedztwa Krakowa (to jest, historycznie, krakowskie) – też z chłopskiej rodziny.

Greczanik reprezentował demokratów, związki zawodowe. Ze strony socjalistów był doktor Dobrzański, stary socjalista, stary działacz. I kilku innych.

Pani Greczanikowa i moja żona pracowały w jednej szkole, jako nauczycielki. Wiedzieliśmy więc o sobie, tylko przed wojną prawie żeśmy się nie stykali. Chyba przed wojną Greczanika nie widziałem. W czasie wojny, zwłaszcza, jak zaczęła się ta nasza Koncentracja, to wtedy bliska współpraca, bliższe poznanie się.

* * *

koniec